

Wychodzi w każdą
Sobotę.

Cena prenumeracyjna
w całej Austrii:
rocznie 8 złr.—półrocznie
4 złr.—kwartalnie 2 złr.
w Niemczech:
rocznie 5 tal.—półrocznie
2 tal. 15 sgr. kwartalnie
1 tal. 8 sgr.

we Francji:
rocznie 21 fr.—półrocznie
11 fr.—kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.

Redakcja: Plac
kapitulny Nr. 7.

ŚWIT

Główne agencje: we
Lwowie księgarnia K.
Wilda, w Krakowie
księgarnia J. Wilda, w
Poznaniu księgarnia J. K.
Zupańskiego.

Rękopisy nie przyjęte
do druku zwracają się w ra-
zie zażądania.

Szanownych autorów
i nakładców, życzących so-
bie znaleźć w „Świcie”
wzmiankę lub rozbiór kry-
tyczny swych dzieł kry-
simy o nadsełanie Redak-
cji egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Treść: Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez *Berlicza Sasa*. (C. d.) — Nad zwłokami Brutusa, przez *Stefana z Opatówka* (wiersz). — Goethe i Descartes, studyum przez *dr. A. Zgórskiego*. (C. d.) — Radziwiłł w gościnie, anegdota dramatyczna w 3 aktach, przez *J. I. Kraszewskiego*. (C. d.) — Przegląd literacki. — Promyki. — Przegląd muzyczny. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

K A L E J D O S K O P

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Odessa była wtedy najważniejszym punktem dla naszych prowincji. Wołyń, Podole, Ukraina, żyły Odessą, której na odwrót udzielały życia i blasku. Cała ich rolnicza przemysłowość nie miała innego odpywu, bo chociaż koszt transportu były znaczne, ceny portowe rosły częstokroć w takiej progressyi, że zarobek bywał ogromny. I cóż dziwnego? Od samej rewolucyi francuskiej wojny wichrzyły Europą, Narody stały pod bronią, a rola odłogiem leżała. W jednych tylko naszych prowincjach nic nie przerwało rolniczego trudu, bo stały pokój panować. Rok nawet 1812, tak fatalny dla Litwy, przeleciał dla nich bez szwanku. Klimat i płodotworna gleba dopełniły reszty. Słusznie więc nazwano wtedy południowe ziemie moskiewskiego zaboru szpichlerzem Europy, bo też ją przez lat niemało karmiły. Tej to okoliczności winną była Odessa wzrost bystry swojego handlu i zamożności. Przywilej porto franco, nadany jej w r. 1817 na lat 30 wiele się także do jej dobrobytu przyczynił. Giełdowe obroty przyjęły coraz szersze rozmiary. Importacja towarów zagranicznych w jednakej z nimi rosła progressyi. Wzrastał się ruch handlowy. Powstawały gmachy składowe, banki, magazyny, domy. Las masztów z cudzoziemskimi bandery zalegał port i rejde, a bulwary, place i ulice brzmiały różnoplemienną mową przybyszów z czterech kardynalnych stron świata.

Wyrazić nie zdołam wrażenia, jakie na mnie wywarła ta ruchoma mozaika z tylu typowych kontrastów złożona. Twarze, postacie, stroje, wszystko było dla mnie dziwne, nowe, zajmujące. Wszystko budziło drażliwość wyobraźni mojej, gotowej zawsze rozognić się płomieniem fantazyi dziecinnej. Czytałem już wtedy (w tłumaczeniu francuzkiem Galland'a) przecudne legendy Tysiąca i jednej nocy, czytałem podróże Cooka, Lapeyrousa, powieści Floryana o Maurach, Kampego historię odkrycia Ameryki i zawojowania Meksyku. Byłem więc należycie przygotowanym do przyjęcia wrażeń, jakie mi w Odessie

spotkały. Każdy negr, turek, grek, lub arab, przypominali mi dalekie strony świata, których barwy miejscowe odbiły się jaskrawo w pamięci mojej, z całą oryginalnością obyczajów i tradycji, z całym urokiem romantycznego wymysłu, lub poetycznej hyperboli. A morze, o którym tyle czytałem, słyszałem, marzyłem! to morze tyle dum nawodzące! w takie porywające zachwyty naturę zdolną zachwyty! morze bez granic dla zmysłów, bez granic i dla wyobraźni, którą każda jego fala unosi w dal niezmierzoną przestrzeni, poza krańce widnokregu, po za doczesności krańce! Z powodu odległości mieszkania naszego (na Ryszeliwskiej ulicy w domu doktora Wiemana) nie mogłem tak często, jakbym tego żądał zadosyć uczynić pociagowi jaki na mnie morze wywierało. Z okien nawet naszych nie było go widać. Przysłuchiwałem się więc chciwie temu szumowi, co się szeroko, szeroko rozlegał i pociągał mnie ku sobie i wnikał we mnie całym urokiem swej tajemniczej poetyczności.

Tu mi przychodzi wyłonić z siebie żal wiecznie przytomny w sercu, że powołaniu mojemu, tak wybitnie przejawiającemu się, nie chciano udzielić należytego baczenia, że dla źle zrozumianej troskliwości o moje życie, (które i na innych torach niejednego doznało rozbicia) stracono mnie z kierunku najgorętszych pragnień moich, a może nawet i zdolności. Chciałem zostać żeglarzem — chciałem koniecznie! żaden inny zawód nie nęcił mnie tak silnie, bo żaden nie zadowalał w takim stopniu głównych kierunków moralnej mojej i fizycznej natury. Byłem silny, zręczny, odważny, ochoczy do naukowego trudu. Umysłem lubiłem sięgać nad poziom wiedzy gminnej — w głębsze przenikać sfery pojęcia i użyteczności. Astronomię nautyczną przyswoiłbym sobie łatwo — pokochałbym jej wzniosłą poetyczność, jak pokochałem poetyczność morza, nieba, przestrzeni. Gdybym tedy nie był wstrzymany w dążeniu, nie wątpię, że przy pomocy Bożej zebrałbym pod koniec życia zasób niemały materii



do ciekawszych nieporównanie pamiątek od tych, z jakimi obecnie występuję. Stało się inaczej! Cóż robić? Sic fata voluere!

W Odessie zastaliśmy ruch wielki. Całe niemal obywatelstwo prowincyi naszych z familiami zebrało się tam pod firmą sanitarną morskich kąpiel dla zabawy, sprawunków, villegiatur'y w nadbrzeżnych futorach, i dla pszenicznej spekulacji. Długie rzędy maż czumackich toczyły się flegmatycznie z ładunkiem ziarna do portowej przystani lub do składowych magazynów. Faktorzy, grecy lub żydzi, biegali rojami zakłopotani. Różnoplemienni handlarze zbożowi snuli się tu i owdzie wietrząc pszenicę i targ dogodny. Ceny rosły lub spadały co kilka godzin, w miarę wieści otrzymywanych o mniejszej lub większej liczbie przybywających okrętów. A w każdym domu widziałeś po stolikach i oknach talerze z próbkami darów Cerery. Do każdego domu, gdzie się polski obywatel pomiescił, szturmowała zgraja zadyszanych kupców lub komisantów handlowych i targ się zawierał i brzęczało złoto lub srebro, bo tam nie było i mowy o papierkach.

Gdy sobie przypomnę te czasy, pojąć nie mogę prawdziwie, gdzie się podziała ta ogromna masa cyrkulującego metalu? Do jakiej otchłani zapadły nasze pocziwe hollenderskie czonte, istnie szczerolote, które, bywało, na szalkach ważono dla odróżnienia od oberżniętych kulfonów? Jaki wichur porozwiewał w przestrzeni nasze niemniej pocziwe elizawetskie karbowanie, takie duże, ważne i szlachetnej próby? Po wieku srebra i złota nastąpił, niestety! wiek brudnej miedzi i znikomych papierków! I dzieła ludzkie także dziś znikome, bez waloru! I serce nie czystsze od miedzi! I ludzie nie szczeroloci...

Skład ówczesnego towarzystwa, odwiedzającego nas kolejno, zalecał się do borem osobistości tak pod względem ukształcenia jak i socjalnego stanowiska. Pamiętam jeszcze poważną postać starego Toma, konsula jeneralnego austriackiego. Jakiż to był miły człowiek! Nawet tej zwykłej niemieckiej sztywności nie było w nim ani śladu. Snać ocierał się w życiu o dobre stosunki. Wzory dobrego tonu potrafił sobie przyswoić. Mówił mało, ale gruntownie i poprawnie francuzkim tłómaczył się językiem. De Ribas, konsul neapolitański, miał więcej od niego samorządności, więcej umysłowego ognia, a następnie mniej dyplomatyizmu. Był on podobno synowcem admirała rosyjskiego De Ribas'a, co pierwszy podał myśl zdobycia nadmorskiej tureckiej forteczki Chadžibej, z której niedługo potem powstała dzisiejsza piękna, ludna, bogata Odessa. Ten De Ribas (nie admirał, ale mój znajomy) posiadał dokładną znajomość pontyjskiego wybrzeża i ziem do niego przylegających. Znał całą ich starożytność dziejową i nazwiska wszystkich greckich kolonii, co się tam różnocozasowie osiedlały, umiał na pamięć. On to wtajemniczył mnie najpierw w ciekawe objawienia ich odległej przeszłości i nakreślił w umyśle moim kontury zdarzeń dziejowych, których koloryt i perspektywę pracą późniejszą uzupełniłem. Najulubieńszym przedmiotem opowiadania jego była Olbia w 7ym wieku przed naszą erą, przez Milezyjczyków u zbiegu Dniepru i Bohu założona. Powstanie tej emporyi miało według niego odpowiadać epoce istnienia monarchii medyjskiej a okresy blasku jej i potęgi dostarczały mu obfitą temę do filozoficznej elegii nad znikomością rzeczy ludzkich.

Wielce oryginalną i typową postacią w swoim rodzaju był także hiszpan, Silvo, komendant odesskiego portu, staruszek suchy, krzepki, ruchawy, jak przystało na żeglarza, od lat wielu zahartowanego w burzach strefy równoleżnikowej i wysokiej temperatury. Don Christoval Colon, czyli mówiąc po polsku, Krzysztof Ko-

lumb, nie dawał pokoju jego językowi. Co słowo, to aluzje do tego wielkiego człowieka, z dodatkiem szumnego panegiriku, który brzmiał zabawnie w ustach pocziwego Silvy komiczną mieszaniną różnoplemiennych wyrazów. Jakiemi koleje losu został on rzucony z nad gorących brzegów Gwadalkiwiru, zład był rodem na brzegi tumannego Pontu, jakich wypadków był igraszka, nim się obłókł w mundur komendanta rosyjskiego portu, nie jest wiadomo. Tyle tylko rzecz mogę, że w naturze jego spreżystej i uczuciowej przejawiał się wyraziście żywy element poezyi, upoważniający wnioskować stanowczo o romantycznym charakterze jego przeszłości, niepozobawionej zapewne ciekawych i poruszających przygód.

Nieraz bywało błędziliśmy z nim razem nad morzem o wieczornej porze, kiedy się firmament świecąc oświecony w zwierciadle spokojnej toni odbijał. Silvo przestawał nagle mówić i patrząc con amore na jasną planetę Wenery, wołał zachwycony:

„Que estrella bella! — Que clara e limpia es! — No puede ser estrella mas brillante!...“ *)

Potem uśmiechał się do fali, co u nóg naszych szemrała, pieścił się z nią, rozmawiał, jak z dawną znajomą, przyjaciółką, kochanką, powiernicą myśli i serca. „O! ty moja swawolnico — mówił pieszczotliwie — zład plyniesz? co widziałeś? po co tu przybywasz? A znasz-li ty fale Kap-Hornu, co takie gniewne i zdradliwe? Gorącą miałem z niemi rozprawę! A fale przyładku Dobrej Nadziei, takie łagodne i uprzejme, czy nie wzywały cię czasem do okrężnego tańca, przy blasku księżyca pod szum powiewów południa? Płyn sobie nazad moja swawolnico! Płyn lazurnymi szlaki, powiewając brylantową obłoną piany! Płyn ku falom Hellady! ku Gibraltaru falom! i nieś im pokłon odemnie. Znały mię niegdys — może przypomną!...“

Obok znakomitej postaci Silvy nakreślę teraz dla kontrastu osobistość innego zupełnie rodzaju, wyższą daleko hierarchicznie, chociaż niezrównanie niższą moralnie. Jenerał hrabia Witt, syn słynnej krasą i zalotnością greczynki Zofii, drugiej żony Szczęsnego Potockiego, mieszkał padowczas w Odessie przy dywizyi jazdy, którą dowodził. Był to człowiek zrzeczny, układny, chytry, salownie ukształcony, w sztuce zalotności biegły i zład chociaż drobny, smukły i z grecka długonosy, a zatem wcale niepowabny, najmilej w niewieścim gronie witany. Jakby po opiciu się belladoną szalały za nim najpiękniejsze kobiety. Co do militarnych zdolności Witta, nie wiele powiedzieć mogę. Wiem tylko, że o waleczności jego chodziły nie nader pochlebne wieści. Cytowano mi nawet zabawne zdarzenie, które przytoczę. W jednej z batalii napoleońskich Witt, który, jak się pokazuje nie widział wielkiego sensu w nadstawianiu łba kulom i miał odrębne we względzie żołnierskich obowiązków filozoficzne poglądy, czmychnął sobie szczęśliwie w krzaki i tam się zaczął. Jeden z jego oficerów, takż jak i on filozof, trafił, uciekwszy z pola bitwy, na to samo miejsce, gdzie jego dostojny dowódzca kosztowne swe życie ocalał.

— Co wacpan tu robisz? — fuknął nieco skonfundowany jenerał.

— Przyszedłem na ordynans do Waszej Ekscellen-cyi — odpowiedział oficer.

W r. 1831 hrabia Witt dowodził korpusem jazdy. W każdym ruchu jego strategicznym odbijał się wyraziście fakt bohaterski wyżej zacytowany. Nigdzie energii w obec

*) Jaka piękna gwiazda! Jaka jasna i czysta! Nie może być gwiazda świetniejsza!

sił polskich, nigdzie dzielności. Kiedy należało iść naprzód, Witt się cofał. Kiedy Polacy nań napierali, Witt zamiast frontem nacisk odierać, umykał forsownym marszem w kierunku obliczonemu i swe nieoszacowane zdrowie daleko od niebezpieczeństwa unosił. Zdawałoby się, że podobne figielki nie powinny były ująć jemu na sucho i nie uszłyby, mam pewność, ale zręczne dworactwo Witta i rzadka umiejętność, z jaką umiał dać pozór przychylny najjaśniejszym błędom swoim, nie tylko ocaliły go od gniewu Cesarza Mikołaja, lecz mu nawet zjednały wzgląd jego łaskawy i pochwałę.

Po zajęciu Warszawy przez Paszkiewicza hr. Witt został mianowany generałem-gubernatorem onej. Dzięki wpływowi pewnej znakomitej Polki, której wdziękowi hołdował, hr. Witt nie splamił posady swojej żadnym umyślnym czynem absolutyzmu i prześladowania. Nie jemu wszakże to przypisać należy, a dobroczynnej przewadze niewieścigo serca nad jego sercem, czyli podobnie nad jego zmysłami. Zostawiony sobie Witt nieszczęśliwy ucisku, byle rządowej polonofobii dogodzić. Kiedy w późniejszym czasie stanął na czele obszernej administracji wojskowych kolonii w krajach południowego zaboru, ten sam Witt puścił wodze przewrotnej naturze swojej i wysysał z kolonizowanego ludu grosz ostatni, byle swym zbyt kownym zachciankom i wyuzdanym namiętnościom zadosyć uczynić.

W r. 1837 podał on myśl cesarzowi Mikołajowi zaimponowania Europie skoncentrowaniem 300 szwadronów jednej li tylko rezerwowej kawalerii pod jego komendą zostającej. Z tej wysokiej cyfry rezerwów miała Europa wnioskować o potęgę bojowej jazdy stojącej w szeregach armii. Pomysł Wita został sankcjonowany i to tem skwapliwiej, że według jego zapewnienia koszta mobilizacji i utrzymania takiej masy wojska, a także i mających się zaprosić zagranicznych gości, miały być pokryte jedną li tylko sumą płynącą ze zarządu kolonii bez współudziału kasy państwa. A że stepowa miejscowość miasta Woznesieńska najwięcej stosowną była dla ewolucji wielkich mas jazdy a do tego i centr administracji kolonii tam się znajdował, stanęło tedy, że cała ta zbrojna wystawa, na postrach Europy umyślona, odbędzie się w Woznesieńsku.

Po Czernyszewie, ówczesnym ministrze wojny, Witt był niezaprzeczeniem najzręczniejszym dworakiem. Może go nawet w wyborze sprzężeniu wpływu i znaczenia przęcił. Poleciał tedy piorunem z Petersburga do Woznesieńska i wnet przystąpił do dzieła. Naprzód oderwał od roli kilkadziesiąt tysięcy kolonistów dla transportu drzewa, lasu budulcowego, produktów alimentarnych, siana, owsa i t. d. w proporcji odpowiedniej potrzebie. Jęknął lud biedny, widząc przed sobą głód i nędzę, lecz poszedł, gdzie kazano, bo nie pójść nie było sposobu. Wnet zaczęły się wznosić pospiesznie do koła Woznesieńska dworki eleganckie, dwory, pałace, wille, ogrody improwizowane dla carskiej rodziny ze świtą, dla książąt zagranicznych, posłów, ministrów i wyższych generałów armii. Przy każdym z podobnych mieszkań, bogato i z wytwornym gustem wewnątrz ozdobionych, stanęły odpowiednie stajnie, wozownie, służbowe oficyny, składy, ba nawet fermy, w których młode wieśniaczki, najponętniejsze ma się rozumieć, strojnie po szwajcarsku ubrane i gwałtem wśród scen błagania i rozpacz z chat rodzicielskich wyrwane, strzegły krów na śmietankę i mleko dla dostojnych gości. Dziewcząt tych liczba sięgała tysiąca. Tysiąc zatem niemal rodzin oplakiwało stratę i pohańbienie dzieci swoich, albowiem nigdy już nie wrócili pod rodzinną strzechę. Tknięte zarazą obozowej rozpusty zmarniały gdzieś i znikły na zawsze!

Byłem i ja na tym pamiętnym przeglądzie. Widok był rzeczywiście prześliczny. Gdyby waż olbrzymi, łuska stalową połyskująca, rozwinął się na stepie front trzechset szwadronów jazdy w obec zdziwionej zgrai cudzoziemców. Lud wyborowy, mundury świeże i ozdobne, konie rasowe i szykowne, ruchy wprawne, z precyzją wykonane, słowem nie mogło być piękniejsze wojsko do parady. O praktyczności jego bojowej nie mówię. Pomiedzy gośćmi najpierwsze trzymali miejsce arcyksiążę Johann i książę August pruski w mundurze moskiewskiej artylerii. Pierwszy nie zdawał się bardzo zadowolnionym tym wspaniałym okazem potęgi sąsiada. Drugi, starzec epikurejskiej szkoły, gorliwy hołdownik Cytery, mało zważał na wirujące szybkimi zwroty i pędy szwadrony, bo go więcej nęciły wdzięki dam i dziewic dworskich, co gdyby świetny i barwisty wieniec okrażały cesarżową i jej nadobne córki Olgę i Maryę.

Różnej natury była piękność tych dwóch carewien. Majestat złagodzony uprzejmością cechował uroczą postać Olgi, owianej melancholią i marzeniem. W Maryi, mniej poetycznej, a tem samem szczęśliwszej duchowie, biło serce przychylne światu i chciwe jego rozkoszy. Na tle jasnym jej czoła nie dostrzegłbyś przelotnej nawet mgły zamyślenia, bo o czemże miała myśleć, kiedy ten, co jej uczuciem owładnął był przy niej i cały widnokrąg jej życia wzajemną miłością opromieniał? Pierwszy raz widziałem wtedy księcia Maksymiliana Leuchtenbergskiego. Żywy i szykowny zdradzał on układem i twarzą francuzkie swoje pochodzenie, a jako syn księcia Eugenisza i wnuk cesarżowej Jozefiny nie mógł być dla mnie obojętnym przedmiotem badania. Oprócz powyższych gości byli tam jeszcze z Berlina generałowie Wrangel i hrabia Brandenburg. Włochy, Bawaryja, Wirtemberg i drobne księstwa germańskie przysłały także swoich reprezentantów. Widziałem tam nawet jakiegoś brzuchatego baszę, bogdaj, czy nie nadzwyczajnego posła Sultana. Siedział jak mruk na koniu, ani razu gęby nie otworzył, tylko pożywał plecami patrząc na wojska manewrujące przed nim. Z dygnitarzy moskiewskich pierwszego rzędu byli tam feldmarszałkowie książę Paszkiewicz i książę Sayn Wittgenstein Berleburg, od lat dziecińczych prawie zaszczycający mnie swoją przychylnością, a także hrabia Michał Woronzoff, noworosyjski wielkorządca, sławny Jermołow i kanclerz państwa hr. Nesselrode. Ten ostatni olśnił mnie blaskiem i żywością swego dyalogu, w którym tło wysokiego tonu służyło za kanwę kosztownego haftu, oryginalnych idei i niepospolitych poglądów. On raczył zstąpić ze swego piedestału ku mnie i upoważnił uprzejmem wezwaniem do odwiedzania go w stolicy, z czego ma się rozumieć nie zaniechałem korzystać.

Kilka dni z rzędu trwała ta wspaniała feta wojskowa, Woznesensk kipiał ruchem, wrzawą i życiem. Dworskie bankiety i bale były świetne, liczne, rozgłośnie. Skoro wieczór opadał zapalało się miasto rzesistą iluminacją. Pyrotechniczne ognie buchały do góry tworząc przelotne godła, cyfry, słońca, arabeski gwiazdzystym grudem opadające z wysoka. Obóz rozłożony na stepie płonął długimi rzędami ognisk, brzmiał narodową pieśnią i głośnie ura! na cześć cara ze salutem ręcznej broni i armat jednoczyły.

Słusznie tedy nazwałem ów przegląd pamiętnym i prześlicznym. Podobał mi się tem więcej, że nie wiedziałem wtedy jeszcze, jakiego ucisku był powodem, jakich boleści przyczyną. Nie wiedziałem, powtarzam, że lud biedny ten przepych swą nędzą opłacił, te ucztyswym głodem okupił, lzy swemi złote czary wesela zaprawił! Sam cesarz nie wiedział o tem, w przekonaniu,

że sumy ekonomiczne kolonii pokryły wydatki przeglądu i że następnie nikt krzywdy żadnej nie doznał.

Pierwsze słowo prawdy usłyszał cesarz z ust szlachetnych hr. Michała Woronzowa. Witt użył wszystkich sprężyn ku swemu usprawiedliwieniu, lecz nadaremnie! Cesarz nakazał srogi rozbiór czynności jego i widzieć go na oczy nie chciał. Dla człowieka nawykłego do wziętości i faworu był to cios straszliwy. Powlókł się on jeszcze za dworem do Odessy, lecz nie był to już

ten Witt, co zwykle. Kiedym go wkrótce potem odwiedził w Odessie, był chory i prawie obłąkany. Pamięć zaczęła go opuszczać, przytomność zdradzać. W końcu wpadł w dzieciństwo. Czołgał się po ziemi, jak niemowlę i bawił piaskiem.

Przedwieczna sprawiedliwość srodze dotknęła Witt'a, bo też wielkie, wielkie były jego grzechy!

(C. d. n.)

Nad zwłokami Brutusa.

Na polu męźnych, na piasku zbroczonym,
Gdzie z trupów świeżych ciepła krew wypływa,
Na własnym mieczu w głąb piersi wtłoczonym
Rzymianin Brutus spoczywa.

Nad nim w obłokach smętna Klio marzy,
Trzyma pergamin i rylcem prawości
Z wzniesłego czoła i spokojnej twarzy
Kreśli — sen rzymskiej wolności.

Przy nim na ziemi, dwóch wodzów się spiera
Jak sęp z sokołem nad wielką zdobyczą —
August nań z dumą zuchwałą spoziera
Antonin — z serca goryczą.

I rzecze pierwszy: Tę głowę rozplątał!
Na pał ją wbije — niech sterczy, jak kara!
Proch ulie Rzymu tułowem pozmiatał,
Jak prawy mściciel Cezara.

Niech Rzym po stracie przestanie się żalić!
Niech syci zemstą krwawą serce dumne,
Depcąc nędznika, co ważył się zwalić
Najwyższą jego kolumnę!

Niech z Wdowy jego uraga boleści —
Niechaj wysmiewa ciężki żal krewieństwa,
Niechaj im miota w szyderczej powieści
Ciężkie — jak zbrodnia — przekleństwa!

A jeśli Furją nie jest Matka siwa,
Widząc tę głowę tak wzniosłą z pozoru
Niechaj się wzdryga i wstrętem okrywa,
Jak przed nasieniem potworu!

A drugi na to: Na stos cyprysowy
Złożę te zwłoki — dla ludu sromoty!
Popiół z nich przeszlę do Matki i Wdowy
Jak czciiciel pokorny — cnoty!

Przy ogniach stosu, w ponurej jasności,
Niech Rzym zajęczy, niech szaty rozrywa
Jako niewolnik — gdy z miecza wolności
Kują mu kajdan ogniwa!

Córka Katona a Brutusa Wdowa
Niechaj uraga Rzymowi tyrana
Dumna, że w urnie zasklepione chowa
Ostatnie serce Rzymiana.

A błogosławiąc stara Matka siwa
Chwilę porodu — plód krwawych mozołów —
Niechaj się szczyci i z dumą odzywa,
Że Matką wolnych popiótów.

Stefan z Opatówka.

Goethe i Descartes.

St u d y u m

przez

Dr. ALFREDA ZGÓRSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Pozostała jeszcze matematyka, która najzapamiętałszy sceptycyzmowi zawsze stawiała opór, i której pewniki najtrudniej dają się zachwiać. Ale jeżeli Descartes nie zdołał obalić prawd matematycznych, to przecież pozwolił sobie wątpić, czy matematyka w tej formie, w jakiej ją podawały ówczesne szkoły, nie jest raczej badaniem oderwanych pojęć ze zupełnem pominięciem zastosowania tychże do praktycznych potrzeb życia.*) Szczególnie błąd ten zarzucił algebrze.

Ogólny zatem sceptycyzm, zupełna utrata wiary w umiejętność, jaką Descartes poznał w szkołach — oto myśl pierwszego, a po części i drugiego ustępu w jego „Discours de la Méthode.“ Taki sam wynik, do jakiego po dwóch niespełna wiekach doszedł Goethe we Fauscie — a jak

*) Goethe nie dotarł we Fauscie aż do zachwiania pewników matematyki, która za jego czasów niezaprzeczone poczyniła już postępy; ale i u niego dopatrzeć można pewnego zamętu w tej dziedzinie pojęć, jak to wynika ze sceny w „kuchni czarownicy.“

Goethe w pomienionym poemacie złożył najbogatszy skarb swojej myśli, tak i na pozór mało znacząca rozprawa Descartes'a jest wszystkich prac jego naukowych podstawą. Dlaczego jednak ta nauka, którą Descartes poznał, i którą się oburzył, przez tyle wieków tyle znakomitych zadowalniała umysłów? Dlaczego dopiero z końcem XVI i z początkiem XVII wieku pojawił się ktoś, który tak ostro z nią się obszedł, który ją tak bezwzględnej, niszczącej poddał krytyce? Descartes sam na to pytanie odpowiada. Uczeń dotychczas uznając jedynie potęgę spekulacji filozoficznej, żyjąc jedynie w krainie swoich pomysłów i wynalazków, nie patrzyli na świat okiem młodem, nie kochali przyrody i rzeczywistości sercem gorącym i nie dostrzegli jak im się bezpowrotnie wysliznęła. Przed Descartes'em wielbiono tylko erudycję, a nikt nie troszczył się o to, na co on pierwszy zwrócił uwagę: na zdrowy rozsądek człowieka, na nieskażony, bystry jego zmysł dostrzegawczy. Wiek XVI gruchocąc cały gmach pojęć i życia średniowiecznego, nienawidził wszystkiego,

co było echem i spuścizną tych czasów. Zhańbienie naturalnego rozsądku przez naukę średniowieczną było przyczyną, iż wiek XVI na przekór średnim podnosząc doniosłość naturalnego rozsądku znieważał szkolną spekulację.

Descartes będąc wieku swego wyrazem, ujawniwszy i streściwszy wszystkie jego zażalenia i gorycze w jednym energicznym proteście, jest przedstawicielem tego usiłowania, które dążyło do powrócenia praw zdrowemu rozsądkowi. Umysł jego obciążony erudycją złych systemów, nie widząc harmonii pomiędzy nimi a prawdą świata, odwrócił się od nich zupełnie, a skierował całą swą uwagę na ową siłę umysłu, która tkwiąc wewnątrz każdego, nie była dotychczas uwzględnioną. Descartes rzuca się w burzliwy odmet życia, a wyposażony zdrowym rozsądkiem przyglądać się poczyną różnowzorem grze jego zjawisk, czynów i namietności. Wyszedłszy z ciasnych izb szkolnych, otrząsłszy z siebie pył ksiąg przerażających ogromem rozmiarów a ubóstwem prawdy kieruje oczy ku ożywionej, na atomy rozprysniętej, a wszędzie ślad twórczej myśli noszącej przyrodzie. Będąc jednak wiernym swojego czasu echem, zwraca się jak Faust XVI wieku pierwaj jeszcze ku innym źródłom poznania.

Badawczem okiem przenika moralne choroby współczesnej mu ludzkości. Alchemia, astrologia, sztuki czarnoksięzkie *) wprowadziły chwilowo w obłęd wiek XVI, przyrzekając butnie zaradzić wszystkim niedostatkom umiętności. Ale prędko przekonuje się Descartes, że i one są raczej obłąkaniem ludzkiego rozsądku, niżeli źródłem wyższego poznania. Wkrótce zatem i od nich odwraca się umysł Descartes'a, ażeby spocząć raz stanowczo na łonie zdrowego rozsądku. Już w kilku pomniejszych **) pismach, poprzedzających „Discours de la Méthode“ dążenie to uczuwać się daje. W tem jednak ostatnim dziele, w którym duch jego widząc wąłłość nauki ówczesnej, a szukając jej tylko w błędach metody, gdyż zanadto cenil potęgę umysłu ludzkiego, aby go o zupełną posadzić miał nieudolność w badaniu prawdy, bierze rozbrat ze wszystkim, co nawet formą przypominałoby mogło średniowieczną, oplakaną umiętność. Nie pisze on, jak erudyci średnich wieków jedynie dla uczonych, język swój czyni potoczystym, wykład zrozumiałym a naród poczyną go doprawdy pojmovać, bo pisze w jego mowie rodzinnej, przezco staje się twórcą prozy francuskiej.

Pozbawwszy się wszelkich scholastycznych przesądów, ufając jedynie zdrowemu rozsądkowi, umiał Descartes na niewielu kartkach swej rozprawy odnaleźć główne pod-

stawy zupełnie nowej metody, która zawiodła go do gruntownego obalenia własnych powątpiewań, pogodziła go ze światem i zbudowała nową naukę, opartą na harmonii wiedzy z rzeczywistością. Wieki XVII i XVIII zbierały owoce jego pracy; nietylko filozofia, lecz niemal wszystkie umiętności ówczesne uważają wystąpienie Descartes'a za początek swego nowego rozwoju. Ale jak nauka i rzeczywistość stały się dwoma podwalinami jego metody, tak i na całym obszarze filozofii zapanować odtąd musiał dualizm. Naturalnym zaś torem wszystkich rzeczy ludzkich bywa spaczenie zdrowej początkowo myśli i jednostronny jej rozwój. Naukę i rzeczywistość, ducha i przyrodę pogodzić pragnął Descartes — myśl tę jednak pojęli błędnie jego następcy. Spinoza stopił dualizm natury i ducha, wypowiedziany przez Descartes'a, w monizmie, twierząc, że obydwa te światy są tylko różnymi objawami jednej pod dwoma postaciami działającej siły i dając tem popęd ku późniejszemu zmateryalizowaniu filozofii przez Anglików. A gdy równocześnie Niemcy odbieźeli znów w kierunku skrajno-idealnym, na korzyść ducha lekceważąc prawa natury, wytworzyła się podwójna jednostronność, wiodąca naukę do nowego rozbratu z prawdą, do zniweczenia świeżo pomiędzy nimi skojarzonego związku. Z dziedziny filozofii przelewa się ta jednostronność na wszystkie inne sfery ludzkiej myśli i działania, tak że reformy XVI wieku w swym rezultacie okazują się nieplodnymi, bezskutecznymi, a chwilowa harmonia nauki i życia znówu się rozprzega. To łatwo pojąć, bo harmonia oprzeć się mogła tylko na uznaniu dwóch światów: natury i ducha. Wiek XVIII przedstawia nam niemal te same braki, niemal te same błędy, jakie charakteryzowały wiek poprzedzający Descartes'a. Nawet to wielkie Descartes'a odkrycie: jego metoda analityczna psychologii nietylko przez jego następców nie została pojętą i do nauki wprowadzoną, ale sam nawet twórca, Descartes, często od niej odstepuje, wracając bezwiednie do scholastycznego syllogizmu. *)

To wszystko musiało wyrodzić skeptycyzm, który w podobny, jak u Descartes'a, sposób, uwydatnił Goethe w swoim Fauście.

Tu jest ów tajemniczy związek duchowy pomiędzy pierwszym wieszczem nowożytnej cywilizacji i najznakomitszym jej moze filozofem. I dla tego niech nas nie dziwi, że niemal każde słowo spotykane na pierwszych stronicach „Discours de la Méthode“, wyrażone w spokojnej formie filozoficznego rozmyślenia, znachodzimy powtórzonem w pierwszych scenach Fausta, a różnice, jakie się nasuwają, dopatrzeć się dadzą jedynie w tem, co jest cechą poezji, jedynie w rozburzonych uczuciach poety, towarzyszących tragicznym wyznaniom Fausta.

(Dok. n.)

*) Podobne chorobliwe objawy towarzyszą zwykle silniejszym wstrząśnieniom społecznym. Wspomnę tylko o „tańczących stolikach“, którymi się zajęła cała Europa po 1848 r.

**) Podał je Baillet a wydał p. Foucher de Careil w I tomie: „Oeuvres inédites de Descartes“, in 8vo, 1859. Paris, Durand. Między temi znajduje się jedna rozprawka p. t.: „Quelques considérations sur les sciences.“

*) M. Victor Cousin, I. série, t. IV. leçon XII — i trzy artykuły w „Journal des Savants“ z sierpn. wrześn. i październ. 1850 napisane z powodu rozbioru Leibnitii „Animadversiones ad Cartesii principia philosophiae.“

RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE

anegdota dramatyczna w 3. aktach

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Akt II.

(Ganek w zamku Nieświeżskim; do koła widać zabudowania obszerne. Wschody od ganku wychodzą na scenę. Na podwyższeniu siedzi Książę Karol w białym

kitlu. Przed nim Dyplowicz w pół zgięty z czapką w ręku.

Dwór księcia przechadza się w cichej rozmowie na przodzie sceny, tak że jedni znikają za kulisami, drudzy wchodzą.)

Scena I.

KSIĄŻE, DYPLOWICZ.

Dwór Księcia.

DYPLOWICZ. (*z niezmierną czołobitnością; mówi kłaniając się do kolan i podnosząc często z admiracją ręce do góry.*) Mości Książę!! Byłem świadkiem całego tego procederu Chorażego, to człowiek pychy szatańskiej... to niegodziwiec i zuchwalec... Żeby śmieć Księciu, Dobroczyńcy naszemu, co jesteś słońcem i luminarzem naszym... stawić się tak hardo...

KSIĄŻE. Nic to, nic, przyjdzie, panie kochanku, koza do woza...

DYPLOWICZ. Przyznaję się, że jabym na miejscu Księcia, nauczył pyszałka...

KSIĄŻE. Czy wy, panie kochanku, w sąsiedztwie tam drzecie się z sobą?

DYPLOWICZ. A! on mnie drze, ja jego nie mogę. (*wzdycha*) Po co jemu ta Wulka, on dawno ją sprzedać powinien, ja mam drugą połowę... Proszę się go,—i nie, i nie. A potem żyd to weźmie, albo lada kto...

KSIĄŻE. A to, panie kochanku, wam się chce wziąć?

DYPLOWICZ. (*wzdycha*) Cóż, kiedy nie mogę... Ja myślałem, że W. Ks. Mość mi dopomożesz... Co to Księciu znaczy, zajechać, szlachcica wypędzić, a potem mnie oddać.

KSIĄŻE. Toćbym, panie kochanku, zajechawszy musiał basarunek zapłacić! (*śmieje się*)

DYPLOWICZ. A co księciu takiemu magnatowi szkodzi zapłacić?... I ot, jabym miał Wulkę, Choraży pieniądze, a książę pan satysfakcyę...

KSIĄŻE. Asindziej, panie kochanku, doskonały jesteś do rady... cha! cha!...

DYPLOWICZ. (*ręce zacierając*) A żeby jeszcze staremu dać na kobiercu pięćdziesiąt...

KSIĄŻE. Słuchaj, panie kochanku... niebezpieczna gra! mówisz o bizunach... tu nie ma komu dać, a jak mnie rozłakomisz... to ci każe wsypać panie kochanku.

DYPLOWICZ. (*cicho*) Po czemu jeden? Mości Książę.

KSIĄŻE. (*śmiejąc się*) Ten mnie bawi, panie kochanku! ten mnie bawi! Co za szkoda, że pieniędzy nie mam!!

DYPLOWICZ. (*klaniając się*) Ja pokredytuję...

KSIĄŻE. Jeszczem, panie kochanku, takiego kpa w życiu nie widział! cha! cha!

(*po chwili*) Słuchajno Dypłowicz, czy ty kiedy o moich podróżach i peregrynacjach słyszałeś? Tak mi się podobaś, że ci gotów jestem cokolwiek opowiedzieć.

DYPLOWICZ. Nazbyt byłbym szczęśliwym i uhonorowanym Mości Książę.

KSIĄŻE. (*głośno*) No to posłuchaj tylko uważnie, bo awantura osobliwa i uszu godna. (*Dworzanie otaczają księcia i od pierwszych słów zaczynają słuchać z uwagą—Dypłowicz ciągle daje znaki podziwu.*)

Było to, trochę dawniej, kiedy się Radziwiłłowi ledwie wąs wysypywał, panie kochanku... (*wzdycha*) lepsze czasy!!... Jeszcze i apostołowie w skarbcu stali i dwanaście cegieł złotych było całych... Jużem był naówczas wyszedł z kondycyi, przestawszy służyć za kuchtę u pani Gałeckiej, a przeniosłem się do Nieświeża; raz tedy raniuteńko — a była wiosna — wyszedłem do ogrodu... szukać ziela na masę dla chorej kobyły, bom się na Ukrainie konowalstwa wszelkiego nauczył... Chodzę, chodzę, aż spojrzę, słońce na mnie mruga osobliwie... jakby coś, panie kochanku, wiedziało... Wtem załopotowało coś skrzydłami, leci ptak i śpiewa mi nad głową: „Dzień

dobry księciu...” Patrzę — upuścił mi bilecik. Ptak był osobliwszy, bo chodził w okularach, miał buty czerwone i na łbie federpusz ogromny... Zbierałem się na odpowiedź... kichnął i poleciał...

WOŁODKOWICZ. Żeś też W. ks. Mość nie miał flinty, aby go do gabinetu zastrzelić...

KSIĄŻE. Ty bo, Wołodkowicz, zawsze mi przerywasz... panie kochanku, a mnie to myśli psuje. Podnoszę liścik... pachnący jak róża. Patrzę, zaadresowany — Panu Miecznikowi do rąk własnych... na pieczęci królewska korona... Lak złocisty... Otwieram i znajduję, panie kochanku, romansowe oświadczenie od księżniczki Brambilli, córki króla Aldebarana, o której wiele mówiono, że miała siedm twarzy jedna od drugiej piękniejszych i co dzień w tygodniu brała inną.

DYPLOWICZ. A! niech ją kaci porwą!

KSIĄŻE. Proszę, panie kochanku, nie przerywać!

WOŁODKOWICZ. Jakże się ona w Księciu zakochała, kiedy Księcia o tysiące mil widzieć nie mogła?

KSIĄŻE. Widzisz, panie kochanku, Wołodkowicz, jak mało wiesz, co na świecie się dzieje; oni w tym kraju mają takie perspektywy, robione z oczu ostrowidzowych, że przez nie widzą pchły na księżycu. Widziała mnie tedy przez perspektywę, gdy po ogrodzie chodził... i odtąd patrzała a patrzała — a że ręce ją bolały od trzymania perspektywy, służące ją ciągle podtrzymywały. List był z formalnem oświadczeniem.

DYPLOWICZ. O to panie historia! a!

KSIĄŻE. Poskrobałem się po łysinie, której wówczas jeszcze, panie kochanku, nie miałem... Co tu robić? nie ma rady — trzeba jechać — kulbacz Strzyżyszkę...

SZCZUKA. (*ogląda się i wzdycha.*)

KSIĄŻE. (*do Szczuki*) Szczuka nie uważa! a ja cię będę egzaminu z tego słuchał!

Kulbaczą tedy Strzyżyszkę... ty, kochany Wołodkowicz znałeś tę klacz cudowną — lepsza od kobyłki Mahometa. Bywało, panie, skoczy... dwa susy ze Słonima do Lidy, z Lidy do Wilna dwa susy, panie kochanku. Wziąłem z sobą nieboszczyka Parcewicza z tyłu w troki, żeby było komu buty wyczyścić... i w imię Boże, na noc do Smorgoń... Drugiego dnia byliśmy nad Bałtykiem, stąd okręt angielski zawiózł mnie mijając Madere i Madagaskar do Egiptu...

WOŁODKOWICZ. M. Książę, ależ geografia...

KSIĄŻE. Tylko mi daj pokój z geografią. Geografia jest dla studentów, ludzie dojrzałi kpią z niej, panie kochanku... Trzeciego dnia wysiedliśmy na tej wyspie Egipskiej w państwie Aldebarana... a już byłem zawiadomiony, panie kochanku, że tam przystęp niełatwy. Ojciec miał ją na oku, bo była nieco płocha... Stało na straży trzynastu krokodyłów, oswojonych i wyuczonych jak moje niedźwiedzie. Chodziły wszystkie na dwóch łapach, szarfy, u boku pistolety angielskie, panie kochanku, szpady, kapelusze stosowane i zegarki u pasa, żeby zawsze wiedziały godzinę; dawano im, panie kochanku, trzy razy na dzień po jednym tłustym bernardynie — panie kochanku. (*ogląda się*) Oj! Chwała Bogu, że Katembrynka nie ma... Cóżem chciał mówić? (*do Szczuki*) Co ty tam patrzysz ciągle na bramę, słuchaj!!

DYPLOWICZ. A! taka piękna historia, jak żyje nic podobnego nie słyszałem...

KSIĄŻE. Z tymi krokodylami, panie kochanku, nie było innego sposobu, tylko trzeba było grać w karty,— a kto przegrał, tego zjadły... tym sposobem skonsumowały kilkunastu zakochanych królewiczów i ze sześciu książąt... Każdy z krokodyłów, panie kochanku, w co innego grał, najstarszy w maryasza, drugi w makao, trzeci w warcaby... Szczuka! co tobie jest... nie słuchasz?

SZCZUKA. Słucham, Mości Książę!

KSIAŻE. Pamiętaj, że jutro wezmę na egzamin, panie kochanku. U drzwi siedział wąż brzuchaty, który tabakę zażywał i to tylko hiszpankę... dlatego miałem ciemniejszy w kieszeni, panie kochanku... Szczuka, co ci jest u licha?

SZCZUKA. Ale nie Mości Książę...

KSIAŻE. Przypatrz że się jak Dyplowicz słucha, to na wzór, panie kochanku, głowę otworzył, aż mu wnętrzności przez nią widać... a wy... w głowach pusto! Nie rożumnego nie chcecie posłuchać, żeby się czegoś nauczyć, panie kochanku... Ej! Szczuka, ja wiem co się świeci z tobą.

SZCZUKA. Mości Książę — ale nie — słucham...

KSIAŻE. Tobie ta fertyczna Basia Kurcewiczówna wlaża pod pachę... Ty dla niej głowę tracisz, panie kochanku...

SZCZUKA. (*wzdychając*) Muszę o niej zapomnieć...

KSIAŻE. Ja ciebie na wylot widzę — ty czekasz, panie kochanku, odpowiedzi z Siennej Wulki, od Kurcewicza, wiedząc, że wyprawilem tam posłańca...

SZCZUKA. Co mnie do tego, proszę Księcia.

KSIAŻE. A kto mnie na to głupstwo namówił, jeśli nie ty?

SZCZUKA. Ja? Czyż ja? Wasza księżęca Mość nie uczyniłeś nic czegośby nie przystało uczynić Radziwiłłowi... Biedny szlachcic, ma także w rodzie księżęcą krew...

DYPLOWICZ. Co za krew?...

SZCZUKA. Im uboższy tem mu dumę jego łącniej taki pan, jak Radziwiłł przebaczyć może. Łatwiej Księciu pofolgować, niż jemu. Na Księcia nie powie nikt, że się zląkł albo poniżył, a z niego by się wyśmiewano...

DYPLOWICZ. Nie mogę tego słuchać...

KSIAŻE. Nie źle mówisz, tylko zawsze na swoje koło, panie kochanku, wodę prowadzisz.

SZCZUKA. Księciu przystało być wspaniałomyślnym i łaskawym...

KSIAŻE. Ty też pochlebca coś jesteś, panie kochanku... A no, tożecie mnie nabesztali, że po tej awanturze w karczmie, w której Radziwiłł ustąpił Kurcewiczowi, ja Wojewoda Wileński, posłałem go jeszcze na barszcz prosić do Nieświeża...

SZCZUKA. Toć po księżecemu, to po Radziwiłłowski, to po pańsku.

DYPLOWICZ. Aż nadto Książę dobry, a na pochyłe drzewo... i kozy skaczą.

SZCZUKA. (*cicho do Dyplowicza*) Ja Jegomości to odśłużę.

DYPLOWICZ. (*wysuwa się w tył kłaniając*) Servus.

KSIAŻE. Teraz ciekawym, panie kochanku, co szlachcic zrobi?

SZCZUKA. Przyjedzie i będzie spokój i zgoda.

DYPLOWICZ. (*nieśmiało*) Nie przyjedzie, ja go znam, jeszcze głupstwo powie...

KSIAŻE. I mnie się też widzi, że nie przyjedzie... Widzisz Szczuko... dawniej kiedyśmy to hulali aż z czupryny kurzyło, póki nie wyłysiała, bywało i tak, żem zaprosiwszy kogo dał mu dwadzieścia pieć. Doktor Freind utrzymuje, że to nigdy nie szkodziło nikomu... ale ludzie, panie kochanku, tak zbabieli, że tego teraz nie lubią. Kurcewicz może co słyszał i boi się.

DYPLOWICZ. Jemuby i pięćdziesiąt nie szkodziło.

SZCZUKA. (*do Dyplowicza cicho*) Ja na waszeci sprobuję.

DYPLOWICZ. (*odsuwa się.*)

SZCZUKA. Mości Książę, on się tego nie zleknie, bo mu i na myśl to nie przyjdzie. Książę słynie z gościnności i żalu do nikogo nie masz.

KSIAŻE. Mam żal, panie kochanku...

SZCZUKA. Ale za cóż?

KSIAŻE. Za co, panie kochanku, za to, że ma taką fanaberyę! W Litwie, panie kochanku, od Wilna i Słonima do Białego stoku i Brześcia oprócz Radziwiłłów fanaberyi takiej nikomu mieć nie wolno...

SZCZUKA. On się ułagodzi...

KSIAŻE. Zobaczymy.

DYPLOWICZ. To jeż — to zgaga — to ocet ten człowiek!

SZCZUKA. Milcz waćpan... (*Dyplowicz znowu się usuwa — Szczuka ogląda się*) Otóż zdaje mi się idzie Żura... który do Siennej Wulki był posłany...

KSIAŻE. Tak — to on sam — ale widzę już markotny czegoś...

Scena II.

CIŻ I ŻURA (*po podróżnemu ubrany*).

ŻURA. Czołem Waszej Książęcej Mości...

KSIAŻE. A co tam dobrego przynosisz, panie kochanku?

ŻURA. (*który spojrzał na Szczukę*) Ot nic, Mości Książę... Szlachcica nie było w domu...

KSIAŻE. Co? co? Kto? ty? nie zastałeś go? — Wiele lat jesteś u mnie na dworze?

ŻURA. Trzeci rok, z łaski Księcia...

KSIAŻE. Ja myślałem, że dopiero drugi dzień, bo nie znasz służby, panie kochanku!

ŻURA. Jaktó Mości Książę?

KSIAŻE. Jak możesz ty powiedzieć mnie: nie zastałem, panie kochanku? Co to jest „nie zastałem“? Gdzieżeś był? W Siennej Wulce?

ŻURA. Ale kiedy go tam nie było.

KSIAŻE. Poproście Marszałka, ażeby Ci wyliczył... coś wart... ażebyś, panie kochanku, wiedział co robić w takim razie, panie kochanku, kiedy Książę posła do kogo... Jedziesz do Siennej Wulki, nie ma — dokąd pojechał? Do Słucka. Ty za nim... nie ma go, dokąd ruszył? Do Wilna — ty do Wilna, do Warszawy, do Stambułu, bogdaj na księżyc, panie kochanku... (*po chwili*) Ale to gorzej, panie kochanku, niż nie zastałem... bo ty łziesz... Żura, ja ci z oczów widzę, ciebie Szczuka łokciem tracił.

ŻURA. Ale... nie Mości Książę!

DYPLOWICZ. (*z tyłu, migając, że Żura kłamie.*)

KSIAŻE. Tyś go zastał, panie kochanku... on tobie głupstwo powiedział, tyś je zjadł i nie śmiesz się niem ze mną podzielić, panie kochanku. A powinieneś wiedzieć, że posłów ani ścinają, ani wieszają... tylko czasem w Turcyi na hak za żebro, żeby przewietrzyć...

ŻURA. Ale Mości Książę...

KSIAŻE. Mów do biesa, mów, nie ci nie będzie...

ŻURA. (*wahając się*) To bo taki człowiek...

KSIAŻE. A no — utrapienie, mów jak było... nie nie zjadał.

SZCZUKA. (*na ucho Żurze*) Zlituj się, nie jątż Księcia!

KSIAŻE. Szczuka... proszę nie szeptać... idź ty mi precz.

DYPLOWICZ. (*na migi objawia swą radość.*)

KSIAŻE. Żura, mów całą prawdę, ja ją przełknę, gardło szerokie mam, żołądek dobry, strawię... a co potem z tego wyjdzie... zobaczymy, panie kochanku...

ŻURA. To Mości Książę... Szlachcic strasznie zacięty...

DYPLOWICZ. Nie mówiłem?

KSIAŻE. No, no — odpowiedź przypieprzył — ale ja się do papryki przyzwyczaiłem na Węgrzech — mów...

ŻURA. Przybyłem do Siennej Wulki, do dworu.

KSIAŻE. To chlew, panie kochanku, nie dwór...

ŻURA. Dworek ubogi, ale chędogi — szlacheć stał w ganku. Gdym konia do kółka przywiązał i submituję się, kazał zaraz miodu przynieść.

KSIAŻE. Dobry miód ma, panie kochanku?

ŻURA. Nie zły, Mości Książę — nie dał przyjść do słowa, pij...

KSIAŻE. Napileś się? panie kochanku...

ŻURA. Trochę musiałem, potem zaraz z poselstwem że Wasza Książęca Mość, pragnąc bliżej poznać sąsiada, prosisz go na barszczyk do Nieświeża...

KSIAŻE. A on co na to? panie kochanku?

ŻURA. *(po chwili milczenia, cicho)* On na to — on na to...

KSIAŻE. A no, gadaj!!

ŻURA. On na to — powiedz Waszmość Księciu Jegomości, że ja barszczu nigdy nie jadam...

KSIAŻE. Widzisz! to czemużes go na flaki nie prosił, panie kochanku?

ŻURA. Książę kazał na barszcz...

KSIAŻE. Panie kochanku, ty nie masz konceptu... A dalej co? mów do ostatnich fusów.

ŻURA. Powiedział — kłaniaj się Księciu Jegomości i powiedz, że jeżeli w barszczu smakuje, niech tu do Siennej Wulki przyjedzie, dam takiego, aż mu się gęba wykrzywi...

KSIAŻE. O dla Boga! a cóż dalej?

ŻURA. Powiedz, że ja w gościnie nie bywam, ale u siebie rad przyjmuję.

KSIAŻE. *(wstaje i siada poruszony)* Szalona pałka! panie kochanku — on śmie Wojewodę Wileńskiego do siebie zapraszać — na barszczyk z rurą...

SZCZUKA. Mości Książę!

KSIAŻE. Milcz że ty mi adwokacie nieproszony... Ja go nauczę, ja mu dam... tego już nadto, panie kochanku — Tu idzie o honor mojego domu!... Hej pana jenerała prosić.

SZCZUKA. *(rzuca się do Księcia z rękami złożonymi)* Mości Książę — bądź dla niego wspaniałym, bądź szlachetnym... Stary oszalał... ale Książę...

KSIAŻE. Prosić pana jenerała...

SZCZUKA. *(klękając)* Mości Książę, zaklinam...

KSIAŻE. Ty mi nie włącz w drogę, panie kochanku, bo oberwiesz... panów senatorów moich! To tak mu nie ujdzie płazem...

SZCZUKA. Ale cóż za grzech, że na barszcz prosił?

DYPLOWICZ. To dopiero dobrze! lecę do Wulki... i tam czekam ewentów... Kurcewicz przepadł, a Wulka będzie moja! *(wymyka się)*.

(Słychać odgłos dzwonu. Zewsząd cisną się starsi ze dworu w mundurach Albeńskich, marszałek dworu, komendant zamku, pułkownicy, milicya.)

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

Echa nadwiślańskie Teofila Lenartowicza tom I. Poznań, nakładem J. K. Żupańskiego 1872. str. 286.

Smutne to zaiste lecz prawdziwe spostrzeżenie, że coraz rzadziej przychodzi nam się spotykać z utworami, o rzetelnej wartości poetycznej. Przebrzmiały serdeczne pienia, porywające urokiem szczerości i prostoty, a natomiast wylęgają się w obłudnych sercach pseudo-wieszczów plody nacechowane liryzmem sztucznym, obleczone w szaty nienaturalnej pretensjonalności języka. Każdemu z nich wydaje się, że jego karty są wulkanem, a czytelnik widzi w tem tylko — parodję wulkanów. Pozowanie zastąpiło tklliwość poetyczną, a dwa te motywy: serce i ojczyzna, które wypiastowały romantyczną epokę naszej poezji i zrodziły mistrzów, rodzą ciągle jeszcze ochotników, ale bez kapłańskiego namaszczenia tamtych... A tu wszystko zależy właśnie na tem namaszczeniu. Jeżeli się go nie ma, to nie trzeba pozować. Pozując zwraca się na siebie oczy wszystkich — a „wszyscy“ mają prawo żądać nowych pomysłów, świeżej wyobraźni, oryginalnej siły... Będąc skromnym, można przemycić w gronie przyjaciół wierszyk o starej formie i starej treści — ale przemawiając że Sinai, trzeba być koniecznie nowym... Toż prawdziwą ucztą dla miłośników poezji, gdy sędziwy Pol pogwarzy jeszcze czasem o ziemi naszej lub grajek mazowiecki, Lenartowicz serdecznem odezwie się słowem.

Mamy właśnie przed sobą nowy tom poezji Lenartowicza. Nie znajdzie tam czytelnik utworów uderzających wzniosłością pomysłów lub zalecających się sztuczną budową, ale natomiast piosenki jego tchną zawsze wdzięczną prostotą, jak ten lud, o którym śpiewa, ten lud,

który stał się dla niego niewyczerpanem źródłem prawdziwego natchnienia.

„Echa nadwiślańskie“ opiewają wypadki z czasów powstania r. 1863, a są jak gdyby dalszym ciągiem tegoż autora powszechnie znanych poezji, osnutych na tle powstania Kościuszkowskiego. Żywo one nam przypominają dawniejsze jego utwory jak np. ustępy z poematu „Kościuszko“, „Bitwa Racławicka“ i t. p. Nie dziwny się temu wcale, bo wszakże autor opiewa tu ten sam lud rozpaczą do boju popchnięty, te same kreśli pragnienia, tylko zamiast naczelnictwa Kościuszki innych widzimy żołnierzy i wodzów.

W pojedynczych, zwiezłych ustępach opowiada autor dzieje przygotowań do wybuchu rewolucyjnego i same te krwawe zapasy, z czego powstaje poemat historyczny, pięknym i każdemu przystępnym językiem, bez goryczy a z prawdą opowiedziany. Parę wyjątków dać musimy, bo charakterystyka nasza nie zdoła zastąpić mowy samego poety... Jakże porywa za serce taki n. p. ustęp wiersza: „Ofiary Polki.“

Miałam srebrne schowadełko,
W niem złote szydełko
I naparstek szczerozłoty
Przedziwnej roboty.

Kiedy przyszło dawać składki
Dla braci na życie,
Schowadełko ze szufladki
Wyciągnęłam skrycie.

I oddałam w ręce człeka,
Co te składki zbierał,
Brodę miał białości mleka,
Kijem się podpierał.

„Bóg ci zapłaci gołąbeczko!“
Rzecz dziadek rzewnie,
A ja trzymam za słóweczko —
Bóg zapłaci pewnie!...

Przyszła potem druga składka,
Znów dziadek w podwórko,
Zawołała na mnie matka:
„A ty co dasz córko?”

A ja dziewczę jasnowłose,
Moje perły niosę.
„Bóg ci zapłać gołąbeczko!”
Rzecz dzieadek rzewnie
A ja trzymam za słóweczko, —
Bóg zapłaci pewnie.

Marcin Leleweł Borełowski znalazł tu obok wielu innych także zaszczytną kartę wspomnienia; niemniej żołnierz-poeta, Mieczysław Romanowski, o którym autor wprowadził kilku słowy tylko wspomina, ale słów tych nikt bez wzruszenia głębokiego odczytać nie może:

Na Moskale z Lelewalem
Chodzili i wieszczę,
Grób jednego świeżem zielem
Nieporosły jeszcze.
Leży śpiewak pod sosenką,
Jak dziecko w kolebce.

P R O M Y K I.

Czy może być co starszego pod słońcem, jak walka ideału z prawdą? Czy jest jakie pole ludzkiej myśli, ludzkich wrażeń, gdzieby nie stykały się ze sobą te dwie siły?... Odkąd pod ludzką czaszką zrodziła się pierwsza cała, samowiedna myśl, odtąd stworzony został po za światem rzeczywistym — drugi, mniej rozumny, ale więcej bogaty treścią — świat ideału. Pierwszy jest po za nami, drugi wewnątrz nas... W stosunku dwóch tych sił spoczywają zawiązki i wytłumaczenie wszystkich faktów życia jednostki i społeczeństwa—gdyby nie było wewnętrzного świata woli i pomysłów, nastąpiłaby i w świecie faktów próżnia, zastój. Bo wszystko, co jest dziś faktem, było w swoim poczęciu kiedyś marzeniem; ideałem, chociaż najczęściej zupełnie płaskim, zmysłowym... W tem znaczeniu nazywam ideałem n. p. i maszynę parową przed James'em Wattem.

To wszystko znane. Powtórzyłem jednak raz jeszcze stare pewniki, ażeby wskazać, że ten idealizm jednostki jest czemś powszechnem i naturalnem i żeby od jednostki przenieść się zaraz do społeczeństwa, do narodu... Chodzi mi zaś o dowód na to, że wyłączny realizm zabija społeczeństwo, bo jest negacją ludzkiej natury — a przecież natura ludzka jest starszą od każdego politycznego czy społecznego programu danej chwili. Dlatego to każdy program narodowy, nie uwzględniający jednej ze sił przyrodzonych człowieka, pomijający idealną stronę jego natury, jest połowicznym, co więcej, dla zdrowia ludu szkodliwym... Jeżeli ktoś marzy, ma nadzieję, ma ideał, będący dla niego bodźcem pracy, ten jeszcze nie jest, jak tam ktoś mówi, „obłąkanym.“ Kto wie nawet, czy on nie jest lepszym psychologiem od tego, który roztkliwia się, płacze sarkazmem i śmieje się łzami, każe mieć „miłość“ (jak p. Szujski) i „moc dobrego“ (jak p. Tarnowski), ale tej pracy organicznej na miłości i dobru partei nie ukazuje widocznego kresu, oznaczonego celu — bo taki cel byłby już ideałem, a są ludzie, którzy zgoda nie lubią tego wyrazu i dla lingwistycznych antypatyj przekreślają jedyne — twórcze słowo! W skeptycy-

A lirenka mu pod ręką
Złote dumy szepe.
Spiewak leży w ziemi świeżej
Marząc dni swobody,
Bo tak wierzył, jak lud wierzy
Romanowski młody.
Szumi puszcza okoliczna,
Szumi gaj paproci,
Na grób spada łza żywiczna
I ślicznie się złości.

Plakał po nim wódz poczciwy
Gdy nieśli do grobu,
Zapłakały polskie niwy,
Dziś ich płaczą obu...

Takim to językiem prześlicznym swoją prostotą opowiedziane dzieje ostatniego powstania stanowią pierwszą część tego zbioru.

W części drugiej pomieścił autor poezye „gminne i przygodne.“ Sam nagłówek już świadczy, że są to utwory treści rozleglejszej, czerpane z życia i podań ludu. Utwory jak: „Niewiasta i święte pielgrzymy,“ „Sen i drzémka,“ „Tęsknota,“ „Stary Józef skrzypkę stroi,“ „O jagodzie co chciała zostać jaskółką“ nie przestaną być nigdy najpiękniejszymi kwiatkami naszej poezyi ludowej.

zmie ich nie ma miejsca na pierwiastek idealny. Są, wierzymy, charaktery wyjątkowe, znakomite, które się bez nich obejść mogą — ale cały tłum pozostanie zawsze tam zimny, gdzie nie uwzględniono wymagań jego natury...

A wszakże o co im chodzi? O pozyskanie adeptów dla swego wyznania... Jeżeli zaś tak — jeżeli doprawdy chcecie stronnictwu nadać siłę, jeżeli chcecie wsiąknąć ze swemi ideami w społeczeństwo, to dziś czy jutro, musicie koniecznie do swego programu przyjąć jeszcze jedno słowo, które (wyznają to!) zmieni trochę zasadę samego programu, ale nada mu za to sympatię powszechną i obudzi echo w duszy narodu... Naturalnie, że chodzi tu zawsze o to, czyli wam jest dogodne zejść z olimpijskich wyżyn swojej doktryny w mętny i chaotyczny tłum, który nazwano narodem, a który powinien czytać książki przez was pisane, jeżeli one są naprawdę dla niego pisane. A wierzyć trzeba że piszecie, dla narodu, że sprawy jego przyszłości nie zechcecie traktować *en famille* bez uwzględnienia stanowiska, na którym wielki ogół stoi... Jeżeli macie wiarę w swój program społeczno-narodowy, jeżeli uważacie go za jedynie zbawienny dla kraju, jeżeli pragniecie, aby kraj go przyjął i nim się przejął, musicie mówić tak, aby was on zrozumiał... A wtedy potrzeba ideału — bo jeżeli wy się bezeń obchodzicie, to jesteście naturami, jak powiedziałem, wyjątkowymi, którym wystarcza idea pracy bez jej ideału, ale które mało sobie mają podobnych.

Od stu lat wiele gorzkich przeżyliśmy doświadczeń, ale kto wie, czy inaczej żyjąc zostalibyśmy dziś jeszcze tem, czem jesteśmy? Pewne daty historyczne od r. 1768 do 1863 mniejby bez wątpienia miały zasmuconych krytyków, ale czy byłibyśmy bez nich tyle zachowali w sobie uczucia polskiego, ażebyśmy na przedstawieniu „Konfederatów“ Mickiewicza, jak p. Tarnowski, płakali?... Kto wie!.. możeby natenazas takie obrazy znalazły nas po stu latach już obojętnymi, jak pierwszy rozbiór kraju znalazł obojętna

na klęskę narodu—Galicyę?... Proszę pomyśleć, ile to się wysnuło z tego idealizmu narodowego żywiołów do życia, ile pocieszających motywów w chwili tak zupełnego upadku, ile natchnień odżywiających stroskane umysły... Owe lata wyczerpywały nas—to prawda!—ale i wzmacniały zarazem. Widok to smętny, ale nie przytłaczający—żał dla pewnych sprawek przeszłości uzasadniony, ale i wdzięczność konieczna. Rok 1863 politycznie najsmutniejszy, ale nie tak zupełnie już podły, nie tak zupełnie odarty z wszelkiego poetycznego wdzięku, aby taki słodki i cichy marzyciel, jak Lenartowicz, potrzebował odbierać za to wyrzuty, że osnuł jedną lub drugą piosenkę na temat z tego roku...

Program owego stronnictwa (czytelnicy wiedzą, o którym mówimy!) jest doprawdy tak pięknym i żywotnym, praca niezmordowana około wzmocnienia sił na każdym polu, w literaturze, sztuce, gospodarstwie—myślą tak praktyczną, że doprawdy żal zbiera, czemu ci, którzy ją wywiesili na swoim sztandarze nie dodali jeszcze wyrazu, któryby ich tak łatwo pogodził z wszystkimi szczerze pragnącymi dobra kraju. Że tym wyrazem jest wiara w przyszłość narodu, tego już każdy się domysli. A tak to stronnictwo wyrzekło się dwóch cnót ewangelicznych, a pozostało tylko—przy miłości. Warto doprawdy kochać, jeżeli się wie dlaczego... Warto żyć, jeżeli się ma cel życia... Jeżeli nie—to nie... Gdyby zaś nie przekonanie, że cel jest, to trzeba by nam się chyba zastanowić już nad tem, czy należy pragnąć pozostania w tak położonych warunkach bytu, jak są nasze dzisiejsze, czy nie lepiej zrozpaczyć o wszystkim i gdzieś tam się w czemś odrodzić, jak tego chciał hr. Leszek Borkowski?... A toż my właśnie mamy tę wiarę, że odrodzenie nastąpi — ale w nas samych — i że po za sobą nie mamy nic innego, w czembyśmy się odrodzić mogli... Wy macie mgły, a my słońce — i oto nasza siła, nasza cała różnica! Program zaś połączony z sceptycyzmem, usuwa sobie samemu grunt, wyrzeka się sam dobrowolnie powszechnego uznania — a szkoda, bo jest w nim wiele stron — że tu użyję wyrazu w tym obozie ulubionego — „dodatnich.“

Kto przejrzał ostatni zeszyt *Przeglądu* krakowskiego, odgadnie łatwo, że pod jego wrażeniem pisaliśmy te słowa... Kto zaś chce—niechaj w tem widzi nasz program.

* * *

Z kroniki artystycznej ostatniego i bieżącego tygodnia zanotować mi tu należy niepoślednie wzbogacenie repertoaru naszej sceny dwoma nie nowymi wprawdzie, ale dawno u nas nie widzianymi, a wielkiej ceny utwo-

rami. Mówię o „Ludwice de Lignerolles“ Ernesta Legouvè i „Rewizorze z Petersburga“ Gogola. Pierwszy dramat poety francuzkiego stojącego na przelomie dwóch kierunków poetycznych, na poły klasyka a na poły już romantyka, kreśli rysami wielkiej siły i wielkiego wdzięku martyrologię serca kobiecego. Jest to jedna z tych starych historii, gdzie miłość żony spotyka się z miłością męża, a której wynikiem bywa złamanie jasnej duszy; ale to wszystko nakreślone tak delikatnie, pomyślane tak głęboko a odczute tak poetycznie, że dramatowi p. Legouvè należałoby dać stałe miejsce w każdym poważnym repertoarze. Rola Ludwici przedstawia zaś tyle subtelnych przejść, tyle wymaga dramatycznej siły i filozoficznego prawie przemyślenia, że pannie Rudkiewiczównie szczerze należy się uznanie za jej grę sumienną, wszechstronnie opracowaną i tyle mieszczącą siły obok wdzięku i naturalności. Szkoda, że gra ta, owoc gruntownego i natchnionego studium, przewinęła się przed naszym okiem tak osamotnioną — bo zresztą nie widzieliśmy ani u p. Leszczyńskiego (Alfred), ani u p. Królikowskiego (de Givry), ani u p. Linkowskiej (Kamila), usiłowań, ażeby odpowiedzieć warunkom powierzonych sobie ról.

Zupełnie tamtemu przeciwne czyni wrażenie komedya rosyjska Gogola „Rewizor z Petersburga“ którą ujrzelśmy na benefis p. Linkowskiego we Środę (d. 21 b. m.). Sztuka ta, która w Rosyi zrobiła epokę, jest jaskrawem i wstępnem do obrzydzenia (to prawda!) ale za to wiernem i jako takie mistrzowskiem malowidłem czynowniczego świata w Rosyi, tego świata bez rozumu, bez serca, po prostu bez instynktów ludzkich. O ile cierpi na tej wierności typowej zmysł moralny i estetyczny widza, o tyle zyskuje prawda — bo przesady w charakterystyce z pewnością nikt tu nie dostrzeże. Te wszystkie rysy są zdjęte ze społeczeństwa, tylko może fabuła sztuki, tło, na którym cyniczna podłość i głupota tych figur występuje, rażą nazbyt przesadną inwencją i odejmują całemu obrazowi urok prawdy.

PP. Hubert (Chłopów), Naturski (Liapkin-Tiapkin), Dębicki (Iwan), a przedewszystkiem pani German (Horodniczanka), tworzyli grupę postaci dobrze i charakterystycznie oddanych. Pojmujemy, że podobne fotografie rzucone w oczy własnemu społeczeństwu muszą rodzić w nim cały szereg myśli — wstyd i gorycz pierwszego wrażenia łącząc z trzeźwym zastanowieniem i dążnością ku gruntownemu przeobrażeniu takich stosunków. Wiktor Sardou i Mikołaj Gogol malują wiek XIX — mój Boże! — wszakże to wiek najwyższej cywilizacji... Ale nie kończmy wyrzutami... Zet.

PRZEGŁĄD MUZYCZNY.

Haendel i Bach, Hayden i Mozart przedstawiają w rozwoju muzyki dwie epoki, poprzedzające wystąpienie Beethovena.

Opera w stylu starowłoskim i w tymże stylu Oratorya dostępują szczytu najwyższego artyzmu w utworach Haendla; u Bacha dostrzega się już oryginalne cechy ducha niemieckiego i prawdziwie wzniosłą, kościelną powagę w oratoryach; Mozart wreszcie staje się twórcą opery niemieckiej, i udoskonala prawidła wszelkiej kompozycji, prowadząc dzieło reformy poczęte świetnie przez Haydena.

Mimo to jednak nosi tamtoczesowa muzyka zawsze jeszcze bardzo wybitne piętno klasycyzmu. Trzymanie się małoduszne przyjętych od dawna prawideł, zamiło-

wanie kontrapunktu, bojaźliwość w tworzeniu nowych wyrażeń harmoniczych, nader umiarkowana instrumentacja, doskonalenie przeważnie tylko form — oto znamiona pracy tych mistrzów, dążących do odrodzenia muzyki, ale w swych reformacyjnych zapędach jeszcze lękliwych. Jakkolwiek Hayden i Mozart coraz już śmielsze stawiają kroki po drodze emancypacji muzyki z krepujących ją węzłów, pierwszy w Oratoryach i Symfoniach, drugi w operze, przecież stanowiący zwrot ku romantyzmowi poczynają się dopiero z Ludwikiem Beethovenem.

Beethoven z gry form, tworzy grę uczucia, wyrazu duszy, — grę jej ideałów. Zamknięty w sobie, kiedy głuchota uczyniła go martwym dla świata — sam z siebie wysnuwa szeregi motywów muzycznych, nie szukając ich

jak Hayden w naśladownictwie głosów natury, a jeżeli się czasem do tego środka ucieka jak np. w Symfonii pastoralnej — to nie naśladownictwo jest pobudką tego kroku, ale chęć żywszego oddania sceny sielankowej. Kierunek ten idealny musiał sprowadzić Beethovena na nowe zupełnie tory w użyciu formy i środków kompozycji. To też wprowadza on genialne zmiany, bezprzykładnie śmiałe zwroty harmoniczne, niesłyszane dotąd dysonanse i modulacje instrumentalne — a w dziewiątej Symfonii nie wystarczą mu już nawet używane dotychczas instrumenta, — ucieka się do głosów ludzkich i w olbrzymim swym potęgą: „*Seid umschlungen Ihr Millionen!*“ zupełnie nowy otwiera świat muzyce.

W pierwotnych swoich dziełach nie jest Beethoven wolny od wpływów Mozarta, w późniejszych jednak staje się zupełnie samodzielnym i w użyciu instrumentów niedorównanym. Jako symfonik zajął w historii muzyki najwyższe stanowisko, co jednak nie wyklucza mistrzostwa w utworach kościelnych, kompozycjach zbiorowych, solach na fortepian i inne instrumenta, w pieśni i operze („Fidelio“), która jednak najmniej do jego przypadała ducha.

Nie dziwnego, że ze śmiercią Beethovena poczyną się muzyka chylić ku upadkowi. Jak już powiedziałem — Beethoven był romantykiem. A cóż łatwiejszego było dla jego epigonów jak dać się unieść fantazyi nieokiełznanej żadnymi prawidłami — i napisać wiele a nie stworzyć? cóż łatwiejszego jak zaślania się Beethovenem, reformatorem sztuki i niedorzeczną excentrycznością obalamować ludzi dobrej wiary? — Beethoven nie zapominał, że muzyka przedewszystkiem być powinna muzyką — czy dzisiejsi kompozytorowie chociażby najrozsądniejszego imienia, pamiętają zawsze o tem?..

Godnym następcą Beethovena w kierunku muzyki romantycznej był Schumann. Pchnięty w nieokreślone marzenia i krainę smutnych dumań już to melancholizmem usposobieniem swej duszy, już to dotkliwymi życiowymi doświadczeniami, rzucił się Schumann z całym zapalem młodzieńczej fantazyi, z całą siłą męskiej energii po świeżo wskazanych torach. Chęć gwałtowna kreślenia jasnych w muzyce obrazów zrodziła, jemu tylko właściwy typ — niezrównana plastyczność... Z tej strony najłatwiej go poznać w utworach o szczupłej formie.

Posłuchajmy np. tego malutkiego poematu muzycznego „*Bittendes Kind*“ w jego „*Kinderscenen*...“ Zdaje ci się, że przechodząc słyszysz łzawą błaganie dziecięcia: ratunku! pomocy! zdaje ci się, że dziecię w krótkich urywanych słowach opowiada historię swoich nieszczęść, a czując, że cię do litości pobudziło, ponawia swoją prośbę... Przeszedłeś obojętnie mimo dziecięcia — już tylko niedokończone słowo skargi doleciało uszów twoich i rozwiło się w powietrzu...

Taż sama plastyczność towarzyszy Schumannowi w pieśni i w utworach na większe rozmiary. Ona to w połączeniu z głębokim uczuciem, niezmiernie przytem bogactwo rytmów, używanie często formy arabeskowej i synkopy, głębokie przejęcie się przedmiotem, wyraz pewien nieokreślonego cierpienia, Byronizm tonów — a obok tego ślady poważnych studiów muzyki klasycznej, — oto są charakterystyczne cechy Schumanna, w których nikt mu nie dorównał.

Że pieśń Heinego zwięzła formą, ciepła uczuciem, mistrzowska w doborze wyrazu, musiała natchnąć Schumanna do ilustrowania jej muzyką, to leżało w jego naturze... Dlatego pieśń Schumanna wydaje się spotęgowaną tylko deklamacją.

Po tych kilku uwagach, które nam się nasunęły, chcąc pomówić o ostatnich dwóch wieczorkach Tow. muz. przechodzę do sprawozdania.

Ósmy wieczorek (d. 1. bm.) rozpoczął się Sonata (g — moll) Beethovena na fortepian i wiolonczelę op. 5, jednym z najwcześniejszych utworów jego.

Rozpoczyna tę sonatę powolne, majestatyczne Adagio o ponurych modulacjach, następuje lekkie i pełne ożywienia Allegro, a kończy iskrzącym humorem i w kilku różnych przemianach powtarzające pierwotny temat Rondo.

Panna L. umiała szczęśliwie ująć wszystkie ze sobą sprzeczne wyrazy tej Sonaty od głęboko smętnego Adagia aż do rozigranego Ronda; wlewając w tony Adagia bardzo właściwy charakter poważnej zadumy, a nadając Rondowi konieczną, swawolną powiedzialbym ruchliwość gry. Mniej dobrze wypadła część wiolonczelowa; nie dostrzegliśmy w grze p. Wolm. onej, tak niezbędnej rzutkości tonów, a czasem nawet nie dostrzegliśmy — czystej intonacji... Mimo to całość wywołała bardzo dobre wrażenie i rzesiste oklaski.

Schumann pieśń „*Der Himmel hat eine Thräne geweint*“ jest pierwszą z Cyklu pieśni Rückera („*Liebesfrühling*“), ułożonych częścią przez Schumanna, częścią przez jego żonę Klarę. Pieśń ta może jest najpiękniejszą w całym zbiorze. Z początku pełna łzawej poezyi i ponurej melancholii, dalej przy słowach:

„*Die Muschel kam und schloss sie ein,*

„*Du sollst nun meine Perle sein.*“

coraz pogodniejsza — choć coraz cichsza, po kilku zwrotach niepokoju czy obawy, powraca znowu do pierwotnego tematu i kończy kilkutaktową przygrywką na fortepianie, u Schumanna bardzo niezwykłą, a przez p. Mikulego nader poetycznie pojętą i wykonaną. Pan Stanisław Niedzielski w odśpiewaniu tej pieśni złożył dowody głębokiego poczucia artystycznego i zarazem technicznego wykształcenia.

Pomiędzy te dwie pieśni a monotonna „oracyę pana Marcina“ z „Hrabiny“ Moniuszki, nie wiem czyją zasługą zaplątał się w programie „Marsz weselny“ Mendelssohna, przełożony na dwoje skrzypiec. Nieszczęśliwy to pomysł, dzieło, w którym nader ważną rolę grają dęte instrumenta przekładać na dwoje skrzypiec, nieszczęśliwszy jeszcze pomyśl umieszczać podobne transkrypcje na programach wieczorkowych, najnieszczęśliwszy jednak, grać ten marsz na niedostrojonych skrzypcach, z nieczystym chwytem akordów, z błędnym frazowaniem i w zwolnieniu prawie do „Andante“ tempie.

Wykonanie tego Marszu w tej formie miało jednak swoją zasługę, będąc zrecznym przejściem od pieśni Schumanna i najpiękniejszego ułamku Wagnerowskiego Tannhäusera: „*O! du mein holder Abendstern,*“ do monotonnego, poczwórnem powtarzaniem się nie zbyt zajmującego tematu „Oracyi p. Marcina“ i nadprogramowej „Aryi“ Donizettiego.

Oracya p. Marcina — składa się z dwóch polonesowych motywów czterykroć się powtarzających za pośrednictwem bezbarwnego pasażu. Zaprawdę są u Moniuszki o wiele cenniejsze ustępy. Pragnęlibyśmy nieraz jeszcze usłyszeć p. Niedzielskiego, tylko nie z Moniuszką i Donizettim na ustach.

Na zakończenie wieczorku odegrali pp. Jar. i dyr. Mikuli koncert Schumanna na 4 waldhornie ułożony i przez samego autora na dwa fortepiany przepisany. W zasadzie już nie godzimy się na taki sposób przekładów muzycznych, chociażby przez samych autorów podjętych i temu to może przypisać mi wypadnie niemiłe wrażenie, jakie odniosłem, słysząc utwór — Schumanna!

Dziwiasty wieczór (d. 15. b. m.) otworzył dyr. Mikuli Sonatą Beethovena na fortepian i skrzypce (p. Bruckman). Żywe jej Allegro i pełne gorącego uczucia Adagio, w stylu zbliżonym do Mozarta opracowane, wyprzedzają czysto Beethovenowskie Scherzo, przez niego do Sonaty na miejsce Menuetu wprowadzone. P. Mikuli był niezrównany w całej Sonacie, wszystkie pasaży Allegra śpiewały, wszystkie tony mówiły, — w Adagio rozmarzony, niby wiosennej miłości nucił arję, w swawolnym Scherzo pełen energii i siły, w Rondzie śpiewny, w całości olśniewający gracyą i poetycznością wykonania. Szkoda, że p. Bruckmann, zużywający swój talent w orkiestrze teatralnej, nie mógł ani w przybliżeniu dorównać mistrzowi grającemu na fortepianie, chociaż tym razem i on wykonał Adagio dosyć czysto.

Pan R. S. odegrał na harmonium Bacha Preludium i dwa usteępy z Schumana „Albumu dla młodzieży.“ I utwory przesliczne i wykonanie do najdrobniejszych szczegółów wypracowane. Od delikatnego pianissimo przez wszystkie fazy przechodził p. S. z niezwykłą lekkością do tonów grzmiących energią i przejmujących mrowiem, które po chwili gubiły się gdzieś we falach powietrza i powracały spokojnie aż do pierwotnych subtelnych drzeń, niby ostatnie echa odpływającej melodii. Zdaje mi się, że i publiczność przkłaśnie mojemu zdaniu. Pięknego nigdy za wiele — i p. S. da się nam jeszcze posłyszeć na jakim wieczorku... Czy nie prawda?

Przed i po utworach na harmonium śpiewała pna. K. uczennica p. Wysockiego, naprzód z nim duet Spohra (z opery „Faust“), następnie arję z „Żydówki“ Halevy'ego. Wiemy że trema, ta nieodstępna towarzysząca każdego dyletanta

a częstokroć najznakomitszych nawet artystów, odbiera głos i władzę kierowania nim, dla tego wstrzymujemy się na teraz z wyrażeniem zdania o talencie panny K.; jedynie tylko pozwolimy sobie dodać uwagę, że na pierwszy występ nie należało jej śpiewać arji z „Żydówki“ trudnej i wymagającej obszernych rozmiarów głosu.

Na zakończenie pp. dyr. Mikuli i Wsz. odegrali waryacje (*Andante con Variazioni*) Mikulego. W wariacjach tych okazał p. M. jak przesliczne można stworzyć rzeczy z drobnego, w kilku zaledwie nutach zamykającego się tematu. Składają się one z Andante i kilku waryacji poprzedzających dwa razy Adagio, opracowane na tymże samem, co Andante temacie. Andante to rozpoczyna się cichem, spokojnem następstwem kilku tonów, rośnie w siłę, za chwilę powracając znowu do spokojnej zadumy; częściej druga pokrewna tematem z pierwszą, ale od niej namiętniejsza, kończy również ukolysaniem się wezbranym uczuciu. Pierwsza waryacja w części wioliowej (p. Wsz.) śpiewna, gorąca i drgająca głębokiem uczuciem; druga w części basowej (dyr. Mikuli) harmonizowana znowu odmiennie, charakteru rzekłbym więcej dzikiego, a mimo to melodyjna. Obie partje łączą się z sobą w „Adagio“ do nowych harmonii na tymże samym temacie. Podobnie i następujące waryacje coraz nowsze harmonią, coraz rozmaitsze rytmem i taktem, coraz żywsze odmianami tempa a zawsze śpiewne, szlachetne i gorące. Pierwszy to utwór, jaki w tym rodzaju na polu Waryacji poznałem. Jedność myśli wszędzie zachowana, a do tego niezmiernem bogactwem środków technicznych urozmaicona.

Prawdżic.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. *La science des religions* par Emile Burnouf Paris. 1 vol. 1872.

LITERATURA I ESTETYKA. *Sztuka, zarys jej dziejów* podręcznik dla uczących się i przewodnik dla podróżnych, napisał dr. Józef Łepkowski, ze 104 drzeworytami. Nakład Wyd. dzieł tanich i pożyty. Kraków 1872.

— Świeżo wyszedł w Krakowie tom I. pisma zbiorowego „*Na dziś*“, poświęconego literaturze, naukom, sztuce, gospodarstwu, handlowi i przemysłowi. Głównym kierownikiem pisma jest znany pod pseudonimem Jana ze Sliwina p. Kirkor, wydawca „*Teki wileńskiej*“ i „*Nowoje Wremia*“ (Nowy czas) w Petersburgu. „*Na dziś*“ zawiera: „Pamiętniki dr. Franka, prof. Uniw. wileńskiego, uzupełnione przez dr. Michała Homulickiego,“ z których obszerne podawał wyjątki „Przegląd Europejski“ I. J. Kraszewskiego, przed dziesięciu laty w Warszawie wydawany. „Naprzód“, romans Fr. Spielhagena. Poezye Karola Brzozowskiego i J. Trzeciaka. „Hegel i Kremer“ rozprawa filozoficzna Br. F. Trentowskiego. „Dziewica Orleańska“, studjum historyczne dr. Ksawerego Liskego. „Wyniki badań najnowszych o mistrzu Wincencie i jego kronice“ przez Augusta Bielowskiego. „Listy z podróży po Szlasku“ przez L. Malinowskiego. „O komunizmie i socyalizmie“, odczyt dr. G. Roszkowskiego. Wreszcie działki bieżące, przeglądy, korespondencje itd. O celu i dążności pisma, jeszcze niepodobna wyrzec pewnego zdania, ale dziś już trudno się zgodzić na niektóre poglądy n. p. korespondenta z Warszawy.

— Nakładem p. Karola Wilda, tak zasłużonego wydawcy dzieł popularnych i szkolnych, opuści prasę w połowie Marca książka zbiorowa: „*Wiązanka dla dzieci*“, ułożona przez p. Wł. Belzę, z pomocą znanych pór pani L. Wilkońskiej, Wł. Ordona i innych. Dziełko to zawierać będzie wierszyki, powiastki, opowiadania z dziejów i geografii Polski i t. d.

HISTORIA. Księgarz J. Unger w Warszawie przygotowuje wydanie *prac historycznych J. Bartoszewicza*.

— Gołos donosi, że petersburskie Towarzystwo historyczne znacznie wydawnictwo papierów Katarzyny II z archiwów rządowych. Opracowanie poruczone historykowi Piekarskiemu.

— Dr. Perlbach w Getyndze wydał monografię sławnego klasztornu Oliwskiego p. t.: *Die ältere Chronik von Oliva*.

— Znany historyk niemiecki dr. Toeppen zaczął wydawać peryodycznie: „*Elbinger Antiquitäten*“.

NAUKI SPOŁECZNE. *La question ouvrière au XIX siècle* par Mr. P. Leroy-Beaulieu. Paris. Charpentier 1 vol. 1872. Z głęboką znajomością przedmiotu i zdrowymi poglądami omawia kwestję zmów, stowarzyszeń rekodzielniczych, *Internationale*, podając jedyny środek zaradzenia cierpieniom społecznym w tem samem, co Libelt nazwał „koalicją kapitału i pracy“.

ODCZYTY. Jutro o godz. 12½ będzie miał p. Zygmunt Sawczyński w sali ratuszowej odczyt: „*O wychowaniu angielskiem*“ na dochód ubogich. — Prof. dr. Szujski rozpoczął d. 15. b. m. w Krakowie szereg odczytów p. t.: „*Historyczna wędrówka po Krakowie*“ — Dr. Herman Beigel, uczony medyk i lingwista miał w Tow. antropologicznem we Wiedniu odczyt „*o przedhistorycznych grobach w Polsce*“.

TEATR I SZTUKI PIĘKNE. *Dzierżawę teatr lwowskiego* na lat sześć otrzymała d. 19. b. m. spółka pp. Waleryana Podlewskiego, Jana Dobrzańskiego, Witalisa Smóchowskiego, hr. Augusta Łosia i dr. A. Miaczyńskiego, która, jak wiadomo, związała się ze znakomitym artystą warszawskim p. Janem Królikowskim, powołując go do kierownictwa artystycznego sceny. Spółka ta przeleje swoje prawa na zawiązać się mające *Towarzystwo akcyjne przyjaciół sceny narodowej*, skoro takowe uzbiera fundusz zakładowy 20.000 złr. Teraz więc należy czekać wypadków.

— *Wieczór muzyczny-deklamacyjny p. St. Wardzyńskiego* z Warszawy odbył się w Sobotę d. 17. b. m. i pod względem artystycznym zaspokoił wszelkie oczekiwania. Już mieliśmy sposobność ocenić wyższy talent tego artysty; dodamy tylko, że wszystkie tegoż strony miały tu szerokie pole do popisu, który wypadł bardzo chlubnie. Na zakończenie odegrał p. W. monodram Wł. Ordona; „*Ostatnie chwile Dawizona*“, mieszczący nader piękne usteępy, skreślone językiem ognistym i wielkiej siły poetycznej. Do urozmaicenia wieczoru niepoślednio przyczyniły się: panna S. przeslicznem wykonaniem „*Rapsody*“ Liszta (nr. 5.), zaś panna Z. odpiewaniem pełnem wdzięku i dobrze cieniowej gry dramatycznej „*Romansu*“ Beethovena i „*Mazurka*“ Chopina. (Z.)

— Józef Kaufman w Warszawie wydał pierwszy zeszyt „*Świata muzycznego*“.